

Co się dzieje z uczelniami niepublicznymi?

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Rok 2009 był rokiem swoistego przełomu dla sektora uczelni niepublicznych. Dla potrzeb tego tekstu będę używał nazwy „uczelnie niepaństwowe” – po pierwsze, dlatego, że nie lubię nazwy „niepubliczne”, bo nie oddaje ona istoty rzeczy, a resztę wytłumaczy treść tego artykułu. Pomijam wstęp o sukcesie lat 1990., jakim było utworzenie sektora uczelni niepaństwowych, o setkach tysięcy wykształconych absolwentów, itd. To już było, to już historia.

Od dawna było wiadomo, że na przełomie lat dwutysięcznych dziesiątych zacznie w sposób zauważalny spadać w Polsce liczba 19-latków, a więc także maturzystów gotowych podjąć studia. Liczba osób starszych, które wcześniej nie zaczęły studiować, a obecnie chciałyby rozpocząć lub uzupełnić studia stopniowo wyczerpuje się. Tak więc, nie trzeba było wielkiego przygotowania statystycznego, aby wiedzieć, że kandydatów na studia dla wszystkich polskich uczelni i dla wszystkich istniejących kierunków zacznie brakować, a kryzys rekrutacyjny najwcześniej dotknie uczelnie niepaństwowe i częściowo publiczne na studiach niestacjonarnych.

Sektor polskich uczelni niepaństwowych jest bardzo niejednorodny – obok uczelni tworzonych z powodów misyjnych (według mnie kilkudziesięciu), są znacznie bardziej liczne dwie, przenikające się wzajemnie, grupy uczelni: nazwane przeze mnie „spółdzielniami profesorskimi” i grupa uczelni tworzona z wyraźnych pobudek (inspiracji) biznesowych. „Spółdzielnie profesorskie” to uczelnie powstałe w odpowiedzi na boom edukacyjny lat 90. XX wieku, zakładane na okres boomu, przez kilka osób ze środowiska akademickiego, bez własnej trwałej infrastruktury, działające w wynajętych obiektach czy pomieszczeniach. Takie uczelnie znikną bezboleśnie w miarę, jak liczba rekrutowanych kandydatów na studia spadnie tak, że koszty działalności przekroczą wpływy. Niestety duża grupa uczelni była zakładana wyraźnie z pobudek innych niż realizacja misji kształcenia studentów – świadczą o tym fakty: niska liczba studentów studiujących w wielu uczelniach – tak mała, że wpływy z czesnego nie mogą pokryć kosztów przyzwoicie prowadzonej dydaktyki. Jednak takie uczelnie wcale nie upadają – widocznie potrzebne są swoim założycielom do celów innych niż podstawowa działalność statutowa. To ta grupa uczelni – kompletnie dla nas nieznaną – ich rektorzy, założyciele nie pojawiają się na żadnych spotkaniach środowiskowych – jest źródłem złych opinii o wszystkich uczelniach niepaństwowych, o niskiej jakości studiów, o sprzedawaniu dyplomów itd. Powiedzmy sobie szczerze – przy absolutnie pasywnej i neutralnej postawie Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego i niestety zbyt formalistycznych działaniach, a nie badaniu jakości, Państwowej Komisji Akredytacyjnej.

Jest „nas” – uczelnie niepaństwowych – za dużo – to fakt; z drugiej strony to świadectwo przedsiębiorczości Polaków oraz liberalnych przepisów i niskich barier wejścia na rynek.

Z danych demograficznych wynika, że za lat dziesięć praktycznie wszyscy maturzyści kończący szkoły średnie w danym roku „zmieszczą” się na studiach stacjonarnych w uczelniach publicznych. Zatem można stwierdzić – W czym problem? – Uczelnie niepaństwowe spełniły swoje zadanie – wykształciły liczne roczniki wyżu demograficznego i zgodnie z regułami rynkowymi (według których powstały) znikną w następnych latach. Otóż to nie takie proste – przynajmniej z dwóch powodów.

– **Powód I.** W każdym państwie, także w Polsce, część osób podejmujących studia chce je ukończyć i zdobyć dyplom jak najmniejszym wysiłkiem i za jak najniższą cenę – mówiąc wprost – chce kupić dyplom. Tę grupę szacuje się różnie; ja oceniam ją na minimum 25–30% ogółu studentów w przypadku, gdy studiuje około 50% populacji każdego rocznika. To dla tych kandydatów na studia zwrócona jest oferta większości szkół wyższych z grupy „biznesowej” sektora niepaństwowego i najsłabszych wydziałów uczelni publicznych. Tacy studenci będą istnieć nawet, gdy populacja studentów spadnie, więc najgorsze uczelnie nadal będą miały licznych kandydatów na studia.

– **Powód II.** W gronie uczelni niepaństwowych istnieje kilkadziesiąt – według mnie minimum 40 – uczelni tworzonych wyraźnie z pobudek misyjnych. Te uczelnie pobudowały siedziby, wykształciły własną kadre, prowadzą badania naukowe, współpracują z uczelniami zagranicznymi. Część z nich, w swoich dziedzinach osiągnęła pozycję porównywalną z najlepszymi wydziałami uczelni publicznych, a śmiem stwierdzić, że w niektórych przypadkach ich absolwenci nie ustępują poziomem absolwentom renomowanych uczelni klasy światowej. Obecny kryzys rekrutacyjny – co na pierwszy „rzut oka” brzmi zaskakująco – najsilniej uderzył w tę grupę uczelni i to ich był jest obecnie najsilniej zagrożony. Ta najlepsza część uczelni niepaństwowych konkurowała o kandydatów na studia stacjonarne z uczelniami publicznymi, a te zwiększyły w ostatnich dziesięciu latach liczbę miejsc na nieodpłatnych studiach aż o 75%, co w połączeniu z obniżeniem ogólnej liczby 19-latków oraz licznymi po 2004 r. wyjazdami młodych Polaków na studia za granicę zrobiło swoje. (Dla przykładu w mojej sądeckiej WSB-NLU na początku lat dwutysięcznych przyjmowaliśmy na studia stacjonarne ponad 500 osób rocznie, teraz zaledwie 200).

Można stwierdzić to nasz problem. Nie zgadzam się – uważam, że polskiemu publicznemu szkolnictwu wyższemu rozpaczliwie potrzebna jest konkurencja i to konkurencja jakościowa. Dlatego potrzebne jest zrównanie naszych praw (tzn. sfinansowanie studiów stacjonarnych w naszych uczelniach lub wprowadzenie powszechnej odpłatności) z prawami uczelni publicznych. Inaczej nastąpi regres jakości w uczelniach publicznych – naturalny w sytuacji monopolu. Zachowanie istnienia kilkadziesięciu najlepszych niepaństwowych uczelni w Polsce jest więc w interesie państwa i w interesie długoterminowym uczelni publicznych.

(dokończenie – str. 3)